

Moderna w formalinie

POCZĄTEK SEZONU TEATRALNEGO W REGIONIE

Kraina modernistycznych dylematów nie przełożonych na język współczesny jest dla odbiorcy czymś obcym i trudnym do strawienia. To też w toruńskim przedstawieniu „Karykatur” Jana Augusta Kisielewskiego najbardziej sprawdzają się sceny, których sens wypełnia się niezależnie od historycznych realiów.

Młoda Polska zawsze frapowała swoją niezwykłą barwnością, szaleństwem, literackim cierpieniem i rzeczywistymi tragediami. Był okres, że reżyserzy niezwykle chętnie sięgali po literaturę z tego okresu. Prawie zawsze sprawdzała się na scenie. Dla odbiorców była trochę jak sen o szaleństwie.

Bohema jako tęsknota

Piękne kobiety, na ogół „fatalne”, artyści żyjący suchym chlebem i winem. Słowem ubóstwo, które wynosiło ponad przeciętność, ze względu na kult sztuki i jej identyfikację z życiem. Żył się po to, aby coś napisać lub namalować – każde rzeczywiste zdarzenie mogło być częścią rozdziału lub obrazu. W wielu przypadkach powstała w ten sposób literatura okazywała się mniej interesująca od życia – to był już początek tragedii jej autora. A takich tragedii było całkiem niemało. Dziś trudno jest językiem młodopolskim powiedzieć coś o współczesności, choć część problemów pozostała niezmieniona. Ale zasadnicze dylematy artystów od wieków pozostają takie same; choć nie doczekały się może tak barwnej otoczki jak za czasów Młodej Polski.



Paweł Kowalski (Antoni Rylski) najwyraźniej dusi się w gorsecie swojej roli. Monika Jakowczuk (Zosia) sięgnęła po oszczędniejsze środki wyrazu i zbudowała postać prawdziwą.

Toruńskie przedstawienie może się podobać, szczególnie tym wszystkim, którzy przychodzą do teatru z nastawieniem na przyjemną konsumpcję. Zrobione „po bożemu”, trochę akademicko, (ale jest to w końcu debiut młodziutkiej reżyserki bydgoszczanki zresztą – Iwony Kempy) z ciekawą, bardzo funkcjonalną scenografią i nostalgiczną muzyką. Więcej jeszcze – momentami

bardzo dobrze zagrane przez aktorów toruńskiej sceny. Tego mogą pozazdrościć Toruniowi bydgoscy teatromani. O ile w Bydgoszczy można raczej mówić o kilku zaledwie interesujących aktorach – Toruń ma dobry zespół, znakomicie ze sobą współpracujący na scenie. Czegoż więc chcieć więcej? No właśnie...

Neurasteniczne dylematy

Młody, zdolny skądinąd Paweł Kowalski w roli Antosia Rylskiego głównie miota się po scenie – odnosi się wrażenie, że nie czuje on (trudnej zresztą) roli artysty, który ma problemy z jednoznacznym wyborem. Aktor zaściania agresywną momentami grą swoje zagubienie w postaci. Właściwie przez cały czas jest jakoś dziwnie nerwowo – nawet jak wzdycha do ukochanej Stefcy. Trudno znaleźć uzasadnienie dla takiej neurastenii „z kapelusza”. Może trzeba by wpisać w postać większe ilości wódki – na uspokojenie. Chwilami jego nadekspresja „formalnie mi apetyt odbiera” – mówiąc słowami sztuki. W wybujałej ekspresji dzielnie mu zresztą sekunduje Stefa grana przez Agnieszkę Wawrzkiwicz. Są chwile, kiedy ze sceny pachnie nieprawdą. Odnosi się wrażenie jakby nie było innych – poza krzy-

kiem – form podkreślających temperaturę emocji. Trudno jednak rozstrzygnąć, na ile winni są aktorzy, a na ile reżyserka, mająca – jak się wydaje – wyobrażenie o cyganerii wyniesione jeszcze z ławy szkolnej.

Bardzo przekonująco natomiast postać biednej Zosi – jak pies kochającej swego pana – zagrała Monika Jakowczuk. Aktorka zbudowała rolę prostymi środkami, bez zbędnego blichtru. Zosia jest prawdziwa. I jej bunt jako jedyny znajduje swoje uzasadnienie na scenie.

Silna grupa bez jednego

Czwórka młodopolskich artystów, granych przez Marka Milczarczyka (Jesz), Grzegorza Wiśniewskiego (Lassota), Sławomira Maciejewskiego (Stachowski) i Michała Marka Ubysza (Witoldyński) ma robić tak zwany „modernistyczny nastrój”. I w dużej mierze im się to udaje. Z wodą w rękę i papiero-

sem w zębach prowadzą – trochę banalnie dziś brzmiące – rozważania o sztuce. Zwłaszcza Milczarczyk i Maciejewski są bardzo konsekwentni w prowadzeniu roli. Niestety, nie można tego powiedzieć o Ubyszu, który zanadto dał się porwać młodopolskiej manierze improwizowania. W jego wydaniu polega to po prostu na mówieniu ze sceny prywatnym tekstem. Nic to, że nie bardzo przystającym do charakteru całej sceny i osadzonym w zupełnie innej poetyce. Aktorowi to zupełnie nie przeszkadza. Zagrania „pod publikę” są zresztą bardzo charakterystyczne dla tego aktora. Niestety, niekiedy „rozwalają” całą scenę – chociaż prawdą jest, jak mówi Ubysz – że pianista (Roman Nowacki) ładnie gra.

Trochę prawdziwego humoru

Przedstawienie grane jest bez przerwy i w pewnym momencie zwyczajnie „siada” – jednak na krótko. Kiedy na scenie pojawia się Włodzimierz Maciudziński i Jolanta Teska, temperatura przedstawienia gwałtownie się podnosi. Sceny z udziałem tych aktorów (dochodzi jeszcze Zofia Melechówna) należą do najlepszych w całym spektaklu. Maciudziński (ojciec Stefy) gra z charakterystyczną dla siebie manierą – ale dałby Bóg każdemu taką manierę, która nie schodzi poniżej pewnego poziomu. Postać, którą stworzył, ma w sobie elementy współczesne, co sprawia, że jest pełnokrwista, nie papierowa. Wywołuje salwy szczerego śmiechu tak samo jak snująca się po salonie „złamana i zniszczona” Teska (Laura).

Szkoda bardzo, że przedstawieniu brakuje głębszego oddechu. Jakiegoś dna, które odślaniałoby się od czasu do czasu. Jakichś pytań, bez których nie ma życia i sztuki. Czegoś mniej formalnego i mitomańskiego. Bez tego Młoda Polska na scenie jest trupio błada, jakby przed chwilą wyjęta z formaliny.

IWONA TORBIGKA

Teatr im. W. Horzycy w Toruniu,
„Karykatury” Jana Augusta Kisielewskiego w reżyserii Iwony Kempy
ze scenografią Tomasza Polasika.
Premiera prasowa 7 września.